

Tadeusz Borowski

„U nas w Auschwitzu...”

I

...a więc jestem już na kursach sanitarnych. Wybrano nas kilkunastu z całego Birkenau i będą uczyć prawie na doktorów. Mamy wiedzieć, ile kości ma człowiek, jak krąży krew, co to jest otrzewna, jak się zwalcza gronkowce, a jak paciorkowce, jak się sterylnie przeprowadza operację ślepej kiszki i po co jest odma’.

Mamy posłannictwo bardzo wzniosłe: będziemy leczyć kolegów, których „zły los” gnębi chorobą, apatią lub zniechęceniem do życia. Mamy — właśnie my, kilkunastu ludzi na dwadzieścia tysięcy mężczyzn w Birkenau, zmniejszyć śmiertelność w obozie i podnieść ducha więźniów. Tak mówił na wyjezdnyh lagerarzt², spytał się jeszcze każdego z nas o wiek i zawód, a gdy odpowiedziałem mu:

— Student.

Podniósł ze zdziwieniem brwi:

— Cóż pan studiował?

— Historię literatury — odrzekłem skromnie.

Kiwnął ze zniechęceniem głową, wsiadł do samochodu i odjechał.

Później szliśmy bardzo piękną drogą do Oświęcimia, widzieliśmy kupę krajobrazu, potem ktoś nas przydzielał gdzieś, na jakiś szpitalny blok jako gości — flegerów³, ale nie bardzo się tym interesowałem, bo poszedłem ze Staszkiem (wiesz, tym, co mi dał

brązowe spodnie) na obóz, ja — szukać kogoś, kto by Ci ten list zaniósł, a Staszek pod kuchnię i magazyn, żeby zorganizować na kolację białego chleba, kostkę margaryny i choć zjedna kiełbasę, bo jest nas pięciu.

Oczywiście nikogo nie znalazłem, bo jestem milionowiec, a tu same stare numery i na mnie patrzą bardzo z góry. Ale Staszek obiecał przez swoje koneksje list przesłać, tylko żeby nie był długi, „bo to musi być nudne tak do dziewczyny co dzień pisać”.

Więc jak się nauczę, ile kości ma człowiek i co to jest otrzewna, to może poradzę coś na Twoją piodermię¹ i na gorączkę sąsiadki z Twego łóżka. Obawiam się tylko, że nawet wiedząc, jak się leczy ulcus duodeni², nie potrafię Ci ukraść głupiej maści Wilkinsona na świerzby, bo aktualnie nie ma jej w całym Birkenau. U nas polewało się chorych herbatą z mięty, odmawiając przy tym pewne nader skuteczne zaklęcia, niestety, nie do powtórzenia.

A co do ograniczenia śmierci: chorował na moim bloku prominent, miał się źle, gorączkował, mówił coraz częściej o śmierci. Pewnego razu zawołał mnie do siebie. Usiadłem na brzeжку łóżka.

— Byłem przecie znany na lagrze, nie? — zapytał, niespokojnie patrząc mi w oczy.

— Któż by ciebie nie znał... i nie zapamiętał — odpowiedziałem niewinnie.

— Patrzaj — rzekł, wskazując ręką na zaczerwienione ogniem szyby.

Paliło się tam, za lasem.

— Wiesz, chciałbym, żeby mnie położyli osobno. Żeby nie razem. Nie na kupie. Rozumiesz?

— Nie miej strachu — rzekłem mu serdecznie. — Już ja ci nawet prześcieradło dam. A z trupiarzami też pogadam.

Uścisnął mi rękę w milczeniu. Ale na nic się nie zdało. Wyzdrowiał i z lagru przysłał mi kostkę margaryny. Smaruję nią buty, bo to takaz ryb. Tak przyczyniłem się do zmniejszenia śmiertelności w obozie. Ale chyba dosyć o tym, bo to zbyt obozowe. Od prawie miesiąca nie mam listu z domu...

II

Rozkoszne dni: bez apelów, bez obowiązków. Cały obóz stoi na apelu, a my w oknie, wpółwychyleni widzowie z innego świata. Uśmiechają się do nas ludzie, my uśmiechamy się do ludzi, mówią do nas: „Koledzy z Birkenau”, trochę ze współczuciem, że nasz los taki marny; a trochę ze wstydem, że ich taki dobry. Pejzaż z okna niewinny, kremu nie widać. Ludzie są w Oświęcimiu zakochani, z dumą rwnowią: „U nas, w Auschwitzu...”

Ostatecznie mają się czym chwalić. Wyobraź sobie, czym jest Oświęcim. Weź Pawiak, tę okropną budę, dodaj Serbię¹, pomnóż przez dwadzieścia osiem i ustaw wszystko tak blisko koło siebie, aby między Pawiakami było tylko trochę miejsca, wszystko otocz podwójnym drutem naokoło, a z trzech stron betonowym murem, błoto wybrukuj, wyhoduj anemiczne drzewka — a między tym wszystkim posadź kilkanaście tysięcy ludzi, którzy byli po kilka lat w obozie, cierpieli fantastycznie, przetrwali najgorszy czas, a teraz mają uprasowane na zabójczy kant spodnie i chodzą, kołyszając się w biodrach- zrób to wszystko a zrozumiesz, dlaczego mają oni w wielkiej pogardzie i politowaniu nas, ludzi z Birkenau, gdzie są tylko drewniane końskie baraki, nie ma chodników, a zamiast łaźni z gorącą wodą — cztery krematoria.

Z flegerni¹, która ma bardzo białe, takie trochę niemiejskie ściany, betonową więzienną podłogę i dużo, dużo trzypiętrowych prycz, widać doskonale drogę wolnościową, po której czasem przejdzie człowiek, czasem przejedzie samochód, czasem drabiniasty wóz, a czasem — rowerzysta, pewnie robotnik wracający z pracy. Dalej, ale bardzo daleko (nie masz pojęcia, ile przestrzeni zmieści się w takim małym oknie, chciałbym mieszkać po wojnie, jak przeżyję, w wysokim domu z oknami na pole), są jakieś domy, a potem siny las. Ziemia jest czarna i musi być wilgotna. Jak w sonecie Staffa, pamiętasz Wiosenny spacer!

Ale są na naszej flegerni rzeczy bardziej cywilne: piec kaflowy z kolorowych, majolikowych kafli, takich, jakie leżały u nas na składzie. Piec ten ma chytrze urządzone ruszta do pieczenia: niby nic nie ma, a piecz choćby proszę. Są na pryczach „kanadyjskie” koce, puszyste jak futro kota. Są prześcieradła białe i bez zmarszczek. Jest stół czasem zaścieniony obrusem, ale tylko od święta i do jedzenia.

Okno wychodzi na drogę brzozową — Birkenweg. Szkoda, że zima i że bezlistne brzozy „płaczące” zwisają na dół jak postrzępione miotły, a zamiast trawników leży pod nimi lepkie błoto, pewnie takie samo jak w „tamtych” świecicie z za drogi, tylko że trzeba je miesić nogami.

Po dróżce brzozowej przechadzamy się wieczorem po apelu godnie, z powagą, witając pochYLENIEM głowy znajomych. Na jednym ze skrzyżowań stoi drogowskaz z płaskorzeźbą, a płaskorzeźba przedstawia takich dwóch, co siedzą na ławce i szepczą sobie na ucho, a trzeci pochyla się ku nim, nadstawia swoje i nadśluchuje. Ku przestrodze: każda twoja rozmowa jest podsłuchana, skomentowana, doniesiona, gdzie należy. Tu jeden o drugim wie wszystko: kiedy był muzułmanem, co i od kogo zorganizował, kogo zadusił i kogo zakapował, i każdy uśmiecha się drwiąco, gdy chwalisz drugiego.

Więc wyobraź sobie Pawiak, ileś tam razy uwielokrotniony otoczony podwójnym drutem, kolczastym. Nie tak jak w Birkenau, gdzie i zwyczajki¹ stoją naprawdę jak bociany na wysokich, długich tyczkach, i lampy świecą co trzy słupy, i drut jest pojedynczy, ale za to odcinków — na palcach nie policzyłybyś!

Więc tu nie tak: lampy świecą co dwa słupy i zwyczajki są solidnie podmurowane, drut jest podwójny i jeszcze mur.

Chodzimy więc po Birkenwegu w naszych cywilnych, prosto z zauny ubraniach — jedyna piątka ludzi, którzy nie mają pasiaków.

Chodźmy po Birkenwegu, wygoleni, świeży i beztroscy. Tłumek łązi grupkami, wystaje przed blokiem dziesiątym, gdzie za kratami i zabitymi na głucho oknami siedzą dziewczęta — króliki doświadczałne, ale najczęściej gromadzi się przed blokiem szrajbsztuby, nie dlatego że tam jest sala orkiestry, biblioteka i muzeum, lecz po prostu, że na piętrze — puff. Co to jest puff, napiszę Ci innym razem, tymczasem bądź ciekawa...

Wiesz, jak dziwnie pisać do Ciebie, której twarzy nie widziałem od tak dawna. Obraz Twój rozpierzcha mi się w pamięci i nawet dużym wysiłkiem woli nie daje się przywołać. Jest coś niesamowitego w śnie, że śnisz mi się tak wyraźnie i plastycznie. Wiesz, sen nie jest jak obraz, ale jak przeżycie, w którym jest przestrzeń i czuje się ciężar przedmiotów i ciepło Twojego ciała...

Trudno mi sobie Ciebie wyobrazić na obozowej pryczy, z obciętymi włosami po tyfusie... Pamiętam Ciebie z Pawiaka: wysoką, smukłą pannę o lekkim uśmiechu i smutnych oczach. Na alei Szucha siedziałas z pochyloną głową i widziałem tylko Twoje czarne włosy, które teraz są obcięte.

I to jest najsilniejsze, co we mnie pozostało stamtąd, z tamtego świata: Twój obraz, choć tak trudno mi Ciebie przypomnieć. I dlatego piszę Ci tak długie listy: bo to są moje z Tobą rozmowy wieczorne, jak wtedy na Skaryszewskiej. I dlatego te listy są pogodne. Zachowałem w sobie dużo pogody i wiem, że i Ty jej nie straciłaś. Mimo wszystko. Mimo pochylonej głowy na gestapo, mimo tyfusu, zapalenia płuc i — krótko obciętych włosów.

A ci ludzie... Widzisz, oni przeszli straszną szkołę obozu, tego obozu z początku, o którym krążą legendy. Ważyli po trzydzieści kilo, byli bici, wybierani do gazu — rozumiesz, dlaczego mają teraz śmieszne, wcięte

marynarki, swoisty, kołyszący się chód i pochwałę Oświęcimia na każdym kroku?

A to jest tak... Chodzimy po Birkenwegu, elegancy, w cywilnych garniturach. Ale cóż — milionowcy! Sto trzy tysiące, sto dziewiętnaście tysięcy, czarna rozpacz, żeśmy nie zdążyli po wcześniejsze numery! Podszedł do nas ktoś w pasiaku, dwadzieścia siedem tysięcy, stary numer, aż się w głowie kręci. Młody chłopak o mętnym spojrzeniu onanisty i chodzie zwierzęcia wietrzącego niebezpieczeństwo.

— Koledzy, skąd wy jesteście?

— A z Birkenau, proszę kolegi.

— Z Birkenau? — popatrzył po nas krytycznie. — I tak dobrze wyglądacie? Przecież to straszne... Jak wy możecie tam wytrzymać?

Witek, mój wysoki przyjaciel i doskonały muzyk, odrzekł podciągając mankiety:

— Fortepianu u nas, niestety, nie ma, ale wytrzymać idzie. Stary numer popatrzył na nas jak przez mgłę:

— Bo my boimy się Birkenau...

III

Kursy wciąż się odwołują, bo czekamy na flegerów z okolicznych obozów: z Janiny, z Jaworzna, z Buny. Mają być także flegery z Gliwic i z Mysłowic, dalszych obozów, ale należących jeszcze do Oświęcimia. Tymczasem wysłuchaliśmy paru wzniosłych przemów czarnego kierownika od kursów, małego zasuszonego Adolfa, który przyjechał niedawno z Dachau i jest nasiąkły aż po uszy kamerad-schaftem. Będzie podnosił zdrowotność obozu przez kształcenie

flegerów i obniżał śmiertelność przez nauczanie, co to jest system nerwowy. Adolf jest niezwykle sympatyczny i nie z tego świata, ale jako Niemiec, nie zna proporcji między rzeczami i zjawiskami i czepia się znaczenia słów, jakby one stanowiły rzeczywistość. Mówi „Kameraden”¹ i myśli, że my istotnie jesteśmy Kameraden, mówi „zmniejszyć cierpienie” i myśli, że to jest możliwe. Na bramie obozu spleciono z żelaza litery: „Praca czyni wolnym”. Oni chyba w to wierzą, ci esmani i ci więźniowie, którzy są Niemcami. Ci, co się wychowali na Lutrze, Fichtem, Heglu, Nietzschem. Więc kursów na razie nie ma i włóczę się po obozie, czyniąc wycieczki krajo- i psychoznawcze. Właściwe włóczymy się w paru: Staszek, Witek i ja. Staszek kręci się zazwyczaj koło kuchni i magazynu, wyszukując tych, którym kiedyś coś dał i którzy teraz jemu dać powinni. Jakoż wieczorem zaczyna się procesja. Schodzą się jakieś typy, którym źle z oczu patrzy, uśmiechają się życzliwie wygolonymi szczękami i wyciągają spod wciętych marynarek: ten kostkę margaryny, ów biały chleb szpitalny, inny kielbasę, tamten papierosy. Rzucają to wszystko na dolne łóżko i znikają jak w filmie. Dzielimy łupy, uzupełniamy z paczek i gotujemy w piecu, który ma kafle barwne i majolikowe.

Witek łązi za fortepianem. Stoi czarne pudło w sali muzycznej w bloku, tam gdzie i puff, ale w arbeitszeicie grać nie wolno, a po apelu grają sobie muzycy, którzy poza tym dają co niedziela koncerty symfoniczne. Koniecznie pójde posłuchać.

Naprzeciw sali muzycznej znaleźliśmy drzwi z napisem „biblioteka”, ale wtajemniczeni twierdzą, że to tylko dla reichsdeutschów parę kryminalnych powieści. Nie sprawdzałem, bo drzwi są zamknięte na amen.

Obok biblioteki w owym bloku kultury jest oddział polityczny, a koło niego — sala muzeum. Są tam fotografie skonfiskowane listów i ponoć nic więcej. A szkoda, mogliby pomieścić tam ową nie dopieczoną wątrobę ludzką, za której nadjedzenie mój przyjaciel, Grek, dostał dwadzieścia pięć na de.

Ale najważniejsza rzecz mieści się na piętrze. Jest to puff. Puff są to okna, nawet w zimie na wpół uchylone. W oknach — po apelu wychylają się główki kobiece o różnych odcieniach, a spod niebieskich, różowych i seledynowych (bardzo lubię ten kolor) szlafroczków wynurzają się śnieżne jak piana morska ramiona. Główek jest, zdaje się, piętnaście, a ramion — trzydzieści, jeśli nie liczymy starej Madame o potężnym, epickim, legendarnym biuście, która czuwa nad główkami, szyjkami, ramionami etc... Madame oknem się nie wychyla, ale za to urzęduje na piętrze jako cerber u wejścia do puffu.

Naokoło puffu stoi tłum prominencji lagrowej. Jeśli Julii jest dziesięć, to Romeów (i to nie byle jakich) z tysiąc. Stąd przy każdej Julii tłok i konkurencja. Romeowie stoją w oknach przeciwległych bloków, krzyczą, sygnalizują rękoma, wabią. Jest lageraltester¹ i lagerkapo, są lekarze ze szpitala i kapowie z komand. Niejedna z Julii ma stałego adoratora i obok zapewnien o wiecznej miłości,

o szczęśliwym wspólnym życiu po obozie, obok wyrzutów i przekomarzań się słyhać bardziej konkretne dane dotyczące mydła, perfum, jedwabnych majtek i papierosów.

Jest wśród ludzi duże koleżeństwo: nie konkurują nielojalnie. Kobiety z okien są bardzo czułe i ponętne, ale jak złote ryby w akwarium niedosiężne.

Tak wygląda puff z zewnątrz. Do środka można się dostać jedynie przez szrajbsztubę za karteczką, która stanowi nagrodę za dobrą i pilną pracę. Wprawdzie my, jako goście z Birkenau, i tu mamy pierwszeństwo, ale odmówiliśmy, mamy czerwone winkle, a niech kryminaliści korzystają z tego, co dla nich. Dlatego żałuj, ale ten opis będzie tylko pośredni, choć oparty na tak dobrych świadkach i tak starych numerach, jak flegger (co prawda już honorowy) M... z naszego bloku, który ma numer prawie trzy razy mniejszy niż dwie ostatnie cyfry mojego. Rozumiesz — członek założyciel! Dlatego kołysze się jak kaczką i ma szerokie spodnie z klinami, spięte z przodu agrafkami. Wieczorem wraca podniecony i wesoły. Oto idzie do szrajbsztuby i gdy czytają numery tych „dopuszczonych”, czyha na nieobecnego; krzyczy wtedy hier, łapie przepustkę i gna do Madame. Wsuwa jej w łapę parę paczek papierosów, ona czyni koło niego szereg zabiegów natury higienicznej i wyszprycowany flegger gna wielkimi susami na górę. Po korytarzyku przechadzają się owe Julie z okna, w szlafroczkach niedbale owiniętych dookoła ciała. Czasem któraś przejdzie obok fleggera i zapyta od niechcenia:

— Który pan ma numer?

— Osiem — odpowie flegger, dla pewności patrząc na karteczkę.

— A to nie do mnie, to do tej Army, blondyneczki — mruknie rozczarowana i powłóczytym krokiem odejdzie ku oknu.

Wtedy flegger wchodzi pod ósemkę. Na drzwiach czyta jeszcze, że takich a takich zdrożności uskutecznić nie wolno, bo bunkier, że dozwolone tylko to a to (szczegółowy wykaz) i tylko na tyle a tyle minut, wzdycha w kierunku judasza, przez który czasem zaglądają koleżanki, czasem Madame, czasem komandofuhrer od puffu, a czasem nawet sam komendant obozu, kładzie na stole paczkę papierosów i... aha, jeszcze dostrzeż, że na szafeczce leżą dwie paczki angielskich. Wtedy dopiero jest to i..., po którym flegger wychodzi, przez roztargnienie wsadzając do kieszeni owe dwie paczki angielskich papierosów. Podlega znów dezynfekcji i wesół i szczęśliwy opowiada nam o tym wszystkim.

Ale dezynfekcja czasami zawodzi, w związku z czym wybuchła onegdaj w puffie zaraza. Puff zamknięto, po numerach sprawdzano, kto był, wezwano ich urzędowo i zaaplikowano kurację. Ponieważ handel przepustkami jest szeroko uprawiany, wykurowano nie tych, co trzeba. Ha, takie jest życie. Kobiety z puffu czyniły również wycieczki na lager. W nocy wychodziły po drabinie w męskich ubraniach na pijatyki i orgie. Ale nie podobało się to postowi z pobliskiej budki i wszystko się urwało.

Są i gdzie indziej kobiety: blok dziesiąty, doświadczalny. Tam się je sztucznie zapładnia (jak powiadają), szczepi się tyfus, malarię, robi się zabiegi chirurgiczne. Przelotnie widziałem tego, który tę robotę prowadzi: w zielonym myśliwskim ubraniu, w tyrolskim kapelusiku z natkanymi odznakami sportowymi, o twarzy dobrotliwego satyra. Podobno profesor uniwersytetu.

Kobiety te bronione są kratami i deskami, ale często gęsto włamują się i tam i zapładniają je zgoła niesztucznie. Musi się wściekać stary profesor.

Zrozum: to nie są ludzie zboczeni, którzy to czynią. Cały obóz, jak się naje i wyśpi, mówi o kobietach, cały obóz marzy o kobietach, cały obóz dobiera się do nich. Lageraltester wyleciał w karny transport za to, że włąził nagminnie przez okno do puffu. Dziewiętnastoletni esman złapał w ambulansie kapelmistrza, grubego, poważnego jegomościa, oraz kilku lekarzy w pozycjach niewątpliwych z partnerkami, które przyszły rwać zęby, i trzymanym w rękę kijem wymierzył doraźnie odpowiednią porcję w odpowiednie miejsce. Takie zdarzenie nikogo nie blamuje: po prostu nie mieli szczęścia.

W obozie rośnie psychoza kobiety. Dlatego kobiety z puffu są traktowane jak normalne, którym się mówi o miłości i o życiu domowym. Tych kobiet jest dziesięć, a obóz liczy kilkanaście tysięcy ludzi.

Dlatego oni tak bardzo rwą się na FKL', do Birkenau. Ci ludzie są chorzy. I pomyśl: to nie jest tylko jeden Oświęcim. To są setki

„wielkich obozów” koncentracyjnych, to są oflagi² i stalagi², to są...

Wiesz, o czym myślę, pisząc Ci to wszystko?

Jest głęboki wieczór; oddzielony szafą od wielkiej sali pełnej ciężko oddychających we śnie chorych, siedzę w małym pokoiku pod czarnym oknem, które odbija moją twarz, seledynowy klosz lampy i białą kartkę papieru leżącą na stole. Franz, młody chłopiec z Wiednia, dogadał się ze mną już pierwszego wieczoru i — siedzę teraz za jego stołem, palę jego lampę i na jego papierze piszę do Ciebie. Ale nie piszę Ci o tym, co mówiliśmy dzisiaj: o literaturze niemieckiej, o winie, filozofii romantycznej, o problemach materializmu.

Wiesz, o czym myślę, kiedy Ci o tym piszę?

Myślę o ulicy Skaryszewskiej. Patrę w ciemne okno, widzę swoją twarz odbitą w szybie, a za szybą noc i nagle błyski reflektorów z budek strażniczych, wyrzynających w ciemności fragmenty przedmiotów. Patrę i myślę o Skaryszewskiej. Przypominam sobie niebo, blade i wyiskrzzone, spalony dom z naprzeciwka i kratę ramy okiennej, która przecinała obraz jak witraż.

Myślę o tym, jak bardzo tęskniłem do Twego ciała w te dni, i czasem uśmiecham się lekko, gdy przyjdzie mi na myśl, jak wielki krach musiał być tam, gdy po naszym aresztowaniu znaleziono u nas obok moich książek i wierszy - Twoje perfumy i szlafrok, czerwony jak brokat z obrazów Velasqueza, ciężki, długi (strasznie go lubiłem, w jego ramach wyglądałaś najwspanialej, choć Ci o tym nigdy nie mówiłem).

Myślę o tym, jak bardzo byłaś dojrzała, jak dużo dobrej woli i — wybac, że Ci to teraz piszę — poświęcenia włożyłaś w nasz stosunek, jak dobrowolnie wchodziłaś w moje życie małego pokoikubez wody, wieczorów z zimną herbatą, paru na wpół uwiędłych kwiatów, psa, który wiecznie gryzł, i lampy naftowej u moich rodziców.

Myślę o tym i uśmiecham się pobłaźliwie, gdy mi mówią o moralności, o prawie, o tradycji, o obowiązkach... Albo gdy wyrzekają się wszelkiej miękkości i sentymentalizmu i pokazując pięść, mówią o wieku twardości. Uśmiecham się i myślę, że człowiek zawsze na nowo odnajduje człowieka — przez miłość. I że to jest rzecz najważniejsza i najbardziej trwała w życiu ludzkim.

Myślę o tym i przypominam celę na Pawiaku. W pierwszym tygodniu nie mogłem pojąć dnia bez książki, bez wieczornego kręgu światła, bez kartki papieru, bez Ciebie...

I popatrz, czym jest przyzwyczajenie: chodziłem po celi i w rytm kroków układałem wiersze. Jeden z nich wpisałem towarzyszowi z celi więziennej do Biblii, ale z innych — były to pieśni horacjańskie — pamiętam tylko strofki, jak ta z wiersza do przyjaciół z wolności:

Przyjaciele z wolności! Pieśnią więzienną was żegnam po to, byście wiedzieli, że nie odchodzę z rozpaczą. Bo wiem, że po mnie zostanie i miłość, i moja poezja,

I póki życia waszego, wspomnienie u przyjaciół.

IV

Dziś — niedziela. Przed południem było się na spacerze, oglądało się z wierzchu doświadczalny blok kobiet (wystawiają głowy przez kraty zupełnie jak króliki mego ojca, pamiętasz, szare, z jednym oklapniętym uchem), potem oglądało się uważnie blok SK¹ (tam na podwórzu jest owa czarna ściana, przed którą dawniej rozstrzeliwano, obecnie robią to ciszej i dyskretniej — w krematorium).

Widzieliśmy paru cywilów: dwie zastraszone kobiety w futrach i mężczyznę o zmiętej, niewyspanej twarzy. Prowadził ich esman, nie przerażaj się tylko, do tymczasowego miejskiego aresztu, który właśnie mieści się w bloku SK. Kobiety patrzyły z przerażeniem na pasiastych ludzi i na potężne urządzenia obozu: piętrowe domy, podwójne druty, mur za drutami, solidne budy strażnicze. A gdyby jeszcze wiedziały, że mur idzie — jak powiadają — dwa metry w głąb, żeby się nie podkopać! Uśmiechaliśmy się do nich, bo to fraszka: posiedzą parę tygodni i wyjdą. Chyba że im naprawdę dowiodą, że handlowali na czarno. Wtedy pojedą do krematorium. Ci cywile są śmieszni. Reagują na obóz jak dziki na widok broni palnej. Nie rozumieją mechanizmu naszego życia i wietrzą w tym wszystkim nieprawdopodobne, mistyczne, coś ponad ludzkie siły. Pamiętasz, jak usiadłaś w przerażeniu, gdy Cię aresztowano, pisałaś mi o tym? Ja czytałem u Marii Wilka stepowego (ona też dobierała lekturę), ale nie bardzo wiem, co i jak.

Dziś za pan brat z nieprawdopodobnym i mistycznym, mając na co dzień krematorium, tysiącami flegmony i gruźlicę, poznawszy, co to jest deszcz i wiatr, i słońce, i chleb, i zupa z brukwi, i praca, aby nie podpaść, i niewolnictwo, i władza, będąc, że tak powiem, pod rękę z bestią — patrzę na nich z odrobiną pobłażania, jak uczony na laika, wtajemniczony na profana.

Wysupłaj ze zdarzeń codziennych całą ich codzienność, odrzuć przerażenie i wstręt, i pogardę i znajdź na to wszystko formułę filozoficzną. Na gaz i na złoto, na apele i na puff, na cywila i na stary numer.

Gdybym Ci powiedział wtedy, gdy tańczyliśmy we dwoje w małym pokoiku o pomarańczowym świetle: słuchaj, masz milion ludzi albo dwa, albo trzy miliony, zabij ich tak, żeby nikt o tym nie wiedział, nawet oni, uwięź kilkaset tysięcy, złam ich solidarność, poszczuj człowieka na człowieka i... — przecież miałybyś mnie za szalonego i kto wie, czy nie przerwalibyśmy tańca. Ale pewnie tak bym nie powiedział, nawet gdybym znał obóz, bo nie zmąciłbym nastroju. A tu patrz: najpierw jedna wiejska stodoła pomalowana na białą i — duszą w niej ludzi. Potem cztery większe budynki — dwadzieścia tysięcy jak nic. Bez czarów, bez trucizn, bez hipnozy. Paru ludzi kierujących ruchem, żeby tłoku nie było, i ludzie płyną jak woda z kranu za odkręceniem

kurka. Dzieje się to wśród anemicznych drzew zadymionego lasu. Zwykle ciężarowe samochody podwożą ludzi, wracają jak na taśmie i znów podwożą. Bez czarów, bez trucizn, bez hipnozy.

Jakże to jest, że nikt nie krzyknie, nie plunie w twarz, nie rzuci się

na pierś? Zdejmujemy czapkę przed esmanami wracającymi spod lasu, jak wyczytają, idziemy z nimi na śmierć i — nic? Głodujemy mokniemy na deszczu, zabierają nam najbliższych. Widzisz: to mistyka. Oto jest dziwne opętanie człowieka przez człowieka. Oto jest dzika Bierność, której nic nie przełamie. A jedyna broń — to nasza liczba, której komory nie pomieszczą!

Albo jeszcze tak: kij od łopaty na gardło i stu ludzi dziennie. Albo zupa z pokrzywy i chleb z margaryną, a potem młody, wyrosnięty esman z pomiętym kawałkiem papieru w łapie, numer wytatuowany na ręce, potem samochód, jeden z tych —

wiesz, kiedy ostatni raz wybierano „Aryjczyków” do gazu? czwartego kwietnia; a pamiętasz, kiedy przyjechaliśmy do obozu? dwudziestego dziewiątego kwietnia. A co byłoby z Twoim zapaleniem płuc, gdybyśmy przyjechali trzy miesiące wcześniej?

... Wiem, że leżysz na wspólnej pryczy z przyjaciółkami, które pewno bardzo dziwią się moim słowom. „Mówiłaś, że ten Tadeusz jest pogodny, a patrz, pisze same ponure rzeczy”. I pewnie są bardzo oburzone na mnie. Ale przecież i o tych sprawach, które się dzieją wokół nas, możemy mówić. Nie wywołujemy zła na próżno i nieodpowiedzialnie, przecież tkwimy w nim — widzisz, jest znów głęboki wieczór po dniu pełnym dziwacznych wydarzeń.

Po południu wybrałem się na mecz bokserski do wielkiego baraku waschraumu, tam, skąd wpierw odchodziły transporty do gazu. Wpuszczono nas do środka z ceremoniami, choć sala była nabita po

brzegi. W dużej poczekalni urządzone ring. Światło z góry, sędzia (nb. polski sędzia olimpijski), bokserzy o sławie międzynarodowej, ale tylko Aryjczycy, bo Żydom występować nie wolno. I ci sami ludzie, którzy dzień w dzień wybijali dziesiątki zębów, ludzie, z których niejeden sam ma pustą szczękę — pasjonowali się Czortkiem, Walterem z Hamburga i jakimś młodym chłopcem, który, trenowany w obozie, wyrósł, jak powiadają, na dużą klasę. Jeszcze tkwi tu pamięć o numerze 77, który niegdyś boksował Niemców, jak chciał, biorąc na ringu odwet za to, co inni dostali na polu. Sala była zadymiona od papierosów, a bokserzy tłukli się, ile wlicze. Ale robili to niefachowo, choć z dużym uporem.

— Taki Walter — mówił Staszek — popatrzcie tylko! Na komandzie, jak chce, to jednym uderzeniem kładzie muzułmana! A tu, patrz, trzy rundy, i nic! Jeszcze jemu mordę nabili. Widocznie za dużo widzów, nie?

Swoją drogą widzowie byli rozanieleni, a my w pierwszym rzędzie, wiadomo, goście.

Zaraz po boksie poszedłem do konkurencji, na koncert. Wy tam, w waszym Birkenau, ani pojęcia nie macie, jakie tu się dzieją cuda kultury o parę kilometrów od kominów. Wyobraź sobie, grają uverturę do Tonereda i coś z Berlioza, i jeszcze jakieś tańce fińskie takiego kompozytora, co miał dużo aaa w nazwisku. Kudy Warszawie do takiej orkiestry! Ale, ale, po kolei Ci opowiem, a Ty słuchaj, bo warto. Więc wyszedłem z boksu, podniecony radośnie, i natychmiast wszedłem na blok, na którym i puff. Pod puffem jest sala muzyczna. Było w niej tłoczno i gwarno, pod ścianami stali słuchacze, muzykanci stroili instrumenty rozsiadłszy się po całej sali. Naprzeciw okna — podwyższenie, stanął na nim kapo kuchni (razem i kapelmistrz), a kartoflarze i rollwaga (zapomniałem Ci napisać, że orkiestra w czasie pracy obiera kartofle i popycha wozy) poczęli grać. Ledwom zdążył dopaść między klarnet II a fagot. Tam przycupnąłem przy nie obsadzonym krzeselku klarnetu I i oddałem się zasłuchaniu. Nie pomyślałabyś nigdy, jak potężnie brzmi sym-foniczna orkiestra trzydziestu osób w dużym pokoju! Kapelmistrz machał umiarkowanie, żeby nie uderzyć dłonią o ścianę, i wyraźnie groził tym, którzy fałszowali. Da im przy kartoflach. Ci z końców sali (z jednego bębna, a z drugiego basetla) nadrabiali, jak mogli. Wszystko głużył fagot, może dlatego, że stałem tuż przy nim. Ale basetla! Piętnastu słuchaczy (więcej się nie pomieściło) zagłębiało się w muzyce ze znanstwem i nagradzało orkiestrę skąpymi oklaskami.

— — — Ktoś nazwał nasz obóz: Betrugslager, obóz oszustw. Skapy żywoplot przy białym domku, podwórko podobne do wiejskiego, tablice z napisami „kapiel” wystarczą, aby otumanić miliony ludzi, oszukać aż do śmierci. Jakiś tam boks, jakieś trawniczki przy blokach, dwie marki na miesiąc dla najpilniejszych więźniów, musztarda w kantynie, cotygodniowa kontrola wszy i uvertura do Tancreda wystarczy, aby oszukać świat i — nas. Ci tam z zewnątrz myślą, że to jest potworne, ale przecież nie jest tak źle, skoro i orkiestra, i boks, i trawniczki, i koce na łóżkach... Oszukańcza jest porcja chleba, do której trzeba dokładać, aby żyć.

Oszukańczy jest czas pracy, przy którym nie wolno mówić, siadać, odpoczywać. Oszukańcza jest każda szufla ziemi, którą niepełną rzucamy na wał rowu.

Patrz na to wszystko uważnie i nie trać siły, gdy Ci jest źle.

Bo może z tego obozu, z tego czasu oszustw będziemy musieli zdać ludziom żywym relację i stanąć w obronie zmarłych.

Kiedyś chodziliśmy komandami do obozu. Grała orkiestra do taktu idącym szeregom. Nadeszło DAW i dziesiątki innych komand i czekały przed bramą: dziesięć tysięcy mężczyzn. I wtedy z FKL-u nadjechały samochody pełne nagich kobiet. Kobiety wyciągały ramiona i krzyczały:

— Ratujcie nas! Jedziemy do gazu! Ratujcie nas!

I przejechały koło nas w głębokim milczeniu dziesięciu tysięcy mężczyzn. Ani jeden człowiek się nie poruszył, ani jedna ręka nie podniosła się.

Bo żywi zawsze mają rację przeciw umarłym.

V

Najpierw byliśmy na kursie. W ogóle na kursie jesteśmy już od dawna, tylko nic Ci o tym nie pisałem, bo to na poddaszu i bardzo zimno. Siedzimy na zorganizowanych stołkach i bawimy się doskonale, zwłaszcza wielkimi modelami ciała ludzkiego. Ciekawi patrzę, jak to jest, ale my z Witkiem rzucamy sobie gąbką i fechtujemy się linijkami, co do rozpacz doprowadza czarnego Adolfa. Macha nad nami rękoma i mówi o kameradschafcie i o obozie. Siadamy cicho w kącie, Witek wyciąga fotografię żony i pyta się przyciszonym głosem:

— Ciekawym, ilu on zabił w tym Dachau? Inaczej by się nie reklamował... Uduśiłbyś go?...

— Uhm... ale ładna kobieta. Jakżeś ty do niej?

— Kiedyś byliśmy na spacerze w Pruszkowie. Wiesz, zieleń, boczne dróżki, las na widnokręgu. Idziemy przytuleni do siebie, a tu z boku wypada pies esmański...

— Już nie bujaj, przecież to w Pruszkowie, a nie w Oświęcimiu.

— Naprawdę pies esmański, bo obok była willa zajęta przez SS. I to bydlę dawaj do dziewczyny! I co byś zrobił? Wywaliłem z rewolweru do bestii, łapię żonę za rękę i powiadam: „Irka, chodu!” A ta stoi jak wkopana i patrzy na spluwę. „Skąd to masz?” Ledwom ją wyrwał, bo od willi było słychać jakieś głosy. Przez pola na przelaj gnałimy jak dwa zające. Długo musiałem Irce tłumaczyć, że ten kawałek żelaza jest potrzebny w moim zawodzie.

W międzyczasie któryś z kolejnych doktorów gada o przelykach i o takich rzeczach, co są w środku człowieka, a Witek beztrąsko referuje mi dalej:

— Pokłóciłem się kiedyś z przyjacielem. Albo on, albo ja, pomyślałem. On też tak zresztą pomyślał, znałem go dobrze. Łaziłem za nim coś ze trzy dni i tylko patrzyłem, czy mi kto za plecami nie siedzi. Przy dybałem go na Chmielnej wieczorkiem i wyrznąłem, ale nie trafiłem, jak trzeba. Przychodzę nazajutrz, ma rękę obwiązaną i patrzy na mnie spođe łba. „Upadłem” mówi.— I co ty — pytam, bo historia bardzo współczesna.

— Nic, bo mnie zaraz wsadzili.

Czy się ów kolega do tego przyczynił, czy nie, trudno rozsądzić, ale Witek losowi się nie dał. Na Pawiaku był oddziałowym czy kąpielowym — taki pipel od Kronsztmidta, który wespół z pewnym Ukraińcem na każdej wachcie katował Żydów. Znasz piwnice Pawiaka? Te żelazne podłogi? Otóż Żydzi nadzy, z rozparzoną po kąpieli skórą, czołgali się po nich tam i z powrotem, tam i z powrotem. Widziałaś kiedy buty żołnierskie od spodu? Ile tam gwoździ? Otóż Kronsztmidt włożył takimi butami na gołe ciało i jeździł na czołgającym się człowieku. Dla Aryjczyków było z tym łagodniej, czołgałem się wprawdzie, ale na innym oddziale i nikt na mnie nie włożył. I nie z zasady, ale za zły meldunek. Dla nas była gimnastyka: godzina na dwa dni. Godzina: to bieg naokoło podwórka, a potem „padnij” i podnoszenie się na rękach, dobre ćwiczenie ze szkoły.

Mój rekord: 76 razy pod rząd i ból rąk do następnego razu. Najlepsze ćwiczenie, jakie znam, to zespołowy „lotnik, kryj się!” Dwusereg ludzi, pierś o plecy, niesie drabinę na barkach, podtrzymując ją jedną ręką. Na okrzyk: „lotnik, kryj się!”, padają na ziemię nie puszczając z barków drabiny. Kto puści, ginie pod kijem lub zaszczyty przez psa. Następnie po szczeblach leżącej na ludziach drabiny zaczyna chodzić esman, tam i z powrotem, tam i z powrotem. Potem trzeba wstać i nie mieszając szyków znów padać.

Widzisz, wszystko nieprawdopodobne: kilometrami koziołkować jak w Sachsenhausen, toczyć się godzinami po ziemi, robić setki przysiadów, całe dni i noce stać w jednym miejscu, miesiące siedzieć w betonowej trumnie, w bunkrze, wisieć na słupku przywiązany za rękę albo na drażu zawieszonym na dwu krzesłach,

skakać jak zaba i czołgać się jak wąż, wiadrami pić wodę aż do uduszenia się, być bitym przez tysiące najrozmaitszych ludzi — patrz, zachłannie słucham historii więzień nikomu nie znanych, prowincjonalnych, Małkini, Suwałk, Radomia, Puław, Lublina — potwornie rozwiniętej techniki męczenia człowieka i uwierzyć nie mogę, żeby wyskoczyła ona z głowy ludzkiej nagle, jak Minerwa z głowy Jowisza. Nie mogę zrozumieć tego nagłego zachłyśnięcia się mordem, tego wylewu zapomnianego na pozór atawizmu.

A jeszcze i to: śmierć. Opowiadano mi o takim lagrze, do którego przychodziły co dzień transporty nowych więźniów, po kilkudziesięciu ludzi naraz. Ale obóz miał ustaloną liczbę porcji, już nie pamiętam wiele, może dwa, może trzy tysiące, i komendant nie życzył sobie, aby więźniowie głodowali. Każdy więzień musiał otrzymać jedną porcję. Co dzień więc było w obozie kilkudziesięciu ludzi za dużo. Każdego wieczoru na każdym bloku losowano kartami lub galkami z chleba i wylosowani nie szli następnego dnia do pracy. Wyprowadzano ich w południe za druty i rozstrzeliwano.

I w tym wylewie atawizmu stoi człowiek z innego świata, człowiek, który konspiruje po to, aby nie było konszachtów między ludźmi, człowiek, który kradnie, aby nie było łupiestw na ziemi, człowiek, który zabija, aby nie mordowano ludzi.

Więc Witek był z tego innego świata i był piplem Kronsztadta, najgorszego kata z Pawiaka. A teraz siedzi przy mnie i słucha, co jest w człowieku, a jak się to coś zepsuje, to jak je naprawić domowymi środkami. Potem na kursach była awantura. Doktor zwrócił się do Staszka, który tak świetnie organizuje, i kazał mu powtórzyć wątrobę. Staszek powtórzył źle. Doktor rzekł:

— Odpowiadacie bardzo głupio, a poza tym moglibyście wstać.

— Siedzę w obozie, to mogę siedzieć i na kursach — odrzekł zaczerwieniwszy się Staszek. — A poza tym niech pan mnie nie obraża.

— Milczcie, jesteście na kursach.

— Pewnie, chcielibyście, żebym milczał, bo mógłbym za dużo powiedzieć, coście tu robili w obozie.

Na to myśmy zaczęli trzaskać w stołki i krzyżeć: „tak! tak!” i doktor wyleciał za drzwi. Przyszedł Adolf, nawymyślał nam odkameradschaftu, a potem poszliśmy na blok, akurat w połowie systemu trawiennego. Staszek zaraz poleciał po swoich kolegach, żeby mu ten doktor nogi nie podstawił. A pewnie nie podstawi, bo Staszek ma dobre plecy. Tego jednego nauczyliśmy się z anatomii obozowej: kto ma dobre plecy, temu trudno nogę podstawić. A ten doktor to rzeczywiście różnie z nim było, uczył się chirurgii na chorych. Ilu ich pochłastał dla nauki, a ilu z nieuctwa — trudno policzyć. Ale chyba dużo, bo w szpitalu zawsze tłok, a i trupiarnia pełna.

Pomyślisz, czytając to, że już się zupełnie wyzbyłem tamtego świata z domu. Piszę i piszę Ci tylko o obozie, o jego drobnych zdarzeniach i z tych zdarzeń wyłuskuję ich sens, jakby już nic innego na nas nie czekało...

Pamiętasz nasz pokoik? Litrowy termos, który mi kupiłaś. Nie włożył do kieszeni i ostatecznie — ku Twemu oburzeniu — powędrował pod łóżko. A historię z łapanką na Żoliborzu, z której nadawałaś mi przez cały dzień reportaże przez telefon? Że wyciągali z tramwajów, ale wysiadłaś przystanek przedtem, że obstawili blok, ale wyszłaś na pola aż nad Wisłę? I to, jak mówiłaś mi, gdy narzekałem na wojnę, na barbarzyństwo, na pokolenie nieuków, które z nas wyrośnie:

— Pomyśl o tych, co są w obozach. My tylko marnujemy czas, a oni się męczą.

Dużo było naiwności w tym, co mówiłem, niedojrzałości i szukania wygody. Ale myślę, że chyba nie marnowaliśmy czasu. Wbrew namiętnościom wojny żyliśmy w innym świecie. Może dla tego, który nadejdzie. Jeśli są to zbyt śmiałe słowa — wybac. A to, że teraz tu jesteśmy — to chyba też dla tego świata. Czy myślisz, że gdyby nie nadzieja, iż ten inny świat nadejdzie, że wrogą prawa człowieka - żylibyśmy w obozie choć jeden dzień? To właśnie nadzieja każe ludziom apatycznie iść do komory gazowej, każe nie ryzykować buntu, pogrążyć w martwość. To nadzieja rwie więzy rodzin, każe matkom wyrzekać się dzieci, żonom sprzedawać się za

chleb i męzom zabijać ludzi. To: nadzieja każe im walczyć o każdy dzień życia, bo może właśnie ten dzień przyniesie wyzwolenie. Ach,

już nawet nie nadzieja na inny, lepszy świat, ale po prostu na życie

w którym będzie spokój i odpoczynek. Nigdy w dziejach ludzkich nadzieja nie była silniejsza w człowieku, ale nigdy też nie wyrzadziła tyle zła, ile w tej wojnie, ile w tym obozie. nie nauczono nas wzbrnąć się nadziei i dlatego ginimy w gazie.

Patrz, w jakim oryginalnym świecie żyjemy: jak mało jest w Euro-pie ludzi którzy nie zabili człowieka! I jak mało jest ludzi, których by inni ludzie nie pragnęli zamordować!

A my tęsknimy do świata, w Którym jest miłość drugiego człowieka, spokój od ludzi i odpoczynek od instynktów. Widać takie jest prawo miłości i młodości.

PS — ale przedtem, wiesz, tobym tak zarznął jednego i drugiego[^].. tak na rozładowanie kompleksu obozowego, kompleksu zdejmowania czapki, beczynnego patrzenia na bitych i mordowanych, kompleksu strachu przed obozem. (Boję się jednak, że ten kompleks na nas ciąży. Nie wiem, czy przeżyjemy, ale chciałbym, abyśmy kiedyś umieli nazywać rzeczy ich właściwym imieniem, jak czynią ludzie odważni.

VI

Od paru dni mamy w południowych godzinach rozrywkę stałą: oto z bloku fur Deutsche⁷ wymaszerowuje kolumna ludzi i ze śpiewem Morgen nach Heimat² obchodzi kilkakrotnie obóz. Dyryguje lager-altester i podaje laską Schritt und Tritt³.

Są to kryminaliści, czyli „ochotnicy“ do wojska. Wyciągnięto wszystkie zielone winkle i co lżejszych wysłał na front. Taki, co to zarznął żonę i teściową, a kanarka na świeży luft wypuścił, żeby się ptaszek w klatce nie męczył, ma szczęście, bo zostanie. Na razie jednak są w kupie.

Ćwiczą ich w marszu i czekają, czy też wykażą oni zrozumienie życia społecznego, czy nie. Oni zaś wykazują społeczność, jak mogą. Są tu zaledwie parę dni razem, a już włamali się do magazynu, nakradli paczek, rozbili kantynę i zdemolowali puff (w związku z czym ówże znowu ku powszechnemu żalowi zamknięto) — po co, powiadają bardzo mądrze, mamy iść tłuc się i łba nadstawiać dla esmanów, kiedy nam tu dobrze? Vaterland vaterlandem, zginie i bez nas, a kto nam będzie buty czyścił na froncie i czy tam są młode chłopaczki?

Idzie więc taka wataha przez drogę i śpiewa Jutro do domu. Wszyscy sławni zabijacy, jeden sławniejszy od drugiego: Seppel, postrach dachdeckerów², ten, który bezlitośnie każe pracować na deszczu, śniegu i mrozie i zrzuca z dachu za źle przybity gwóźdź; Arno Bohm, numer 8, wieloletni blokowy, kapo i lagerkapo, ten, który zabijał sztubowych, jeśli sprzedawali herbatę, i bił po dwadzieścia pięć za każdą minutę spóźnienia i każde słowo wymówione po wieczornym gongu; ten sam, który starym rodzicom we Frankfurcie pisywał krótkie, ale wzruszające listy o rozłące i powrocie. Poznajemy ich wszystkich: ten bił na DA W, ten — to postrach Buny, ów ciapa, ale, gdy był chory, czynił wyprawy do budy blokowego po tytoń, aż zbity na perskie oko wyrzucony został na lager i dostał jakieś nieszczęsne komando w swe złodziejskie łapy. Idą w szeregu znani pederasta, alkoholicy, narkomani, sadyści — a na samym końcu idzie Kurt, elegancko ubrany, rozgląda się wokół, gubi krok i nie śpiewa. Ostatecznie pomyślałem, to ten, który Cię dla mnie odnalazł i nosił nam listy, zbiegłem więc w te pędy na dół, złapałem go za hals i powiadam:

— Kurt, pewnie jesteś głodny, przyjdź, ochotniku-kryminalisto, na górę — i pokazałem okno należące do nas.

Jakoż pod wieczór zjawił się u nas, wprost na obiad, nawarzony w piecu o majolikowych kafłach. Kurt jest bardzo miły (brzmi to egzotycznie, ale o inne określenie trudno) i umie dobrze opowiadać. Chciał kiedyś być muzykiem, ale ojciec, bogaty sklepikarz, wyrzucił go z domu. Kurt wyjechał do Berlina, poznał tam dziewczynę, córkę jakiegoś innego sklepikarza, żył z nią, pisywał do gazet sportowych, wpadł na miesiąc do ula za burdę ze Stahlhelmem, a potem się na oczy nie pokazał dziewczynie. Zdobył wóz sportowy i szmuglował dewizy. Na jakimś spacerze spotkał swoją dziewczynę, ale się jej nie śmiał przypomnieć. Potem jeździł do Austrii i Jugosławii, aż złapali i wsadzili. A że recydywa (ów nieszczęsny miesiąc), więc po więzieniu do obozu, czekaj końca wojny.

Zapada wieczór, na lagrze jest już po apelu. Siedzimy w paru przy stole i opowiadamy. Wszędzie się opowiadało: idąc po drodze na komando, wracając do obozu, przy łopacie i lorze, wieczorem na pryczy, stojąc na apelu. Opowiadamy powieści i opowiadamy życie. I to, i tamto spoza drutów. Dziś nam zebrało się na obóz, może dlatego że Kurt niedługo z niego wyjedzie.

— Właściwie o obozie nikt dokładnie nic nie wiedział. Trochę bzdur o bezcelowej pracy, np. zrywanie i układanie asfaltu albo rozgarnianie piasku. No i oczywiście to, że jest okropnie. Gadki chodziły między ludźmi. Ale Bogiem a prawdą, człowiek tym wszystkim za bardzo się nie interesował. I tak wiadomo, że jak wpadnie, to nie wyjdzie.

— Jakbyś przyjechał dwa lata temu, toby cię na pewno wiatr wywiał kominem — wtrącił sceptycznie Staszek, który tak świetnie organizuje.

Wzruszyłem ramionami z niechęcią. — Albo i nie. Nie wywiał ciebie, toby nie wywiał i mnie. Ale wiecie, na Pawiaku był jeden z Auschwitzu.

— Pewnie na rozprawę przyjechał.

— Właśnie. Pytali my go, a on nic, jakby wody do ust. Tylko mówił: „Przyjedziecie, to zobaczycie. A teraz — co wam gadać. Jak do dzieci.”

— Bałeś się obozu?

— Bałem się. Wyjechaliśmy z Pawiaka rano. Samochodami na dworzec. Żle: słońce świeci w plecy. Znaczący, że na Zachodni. Auschwitz. Władowali nas do wagonów w tempie, a droga! Jechaliśmy według alfabetu, po sześćdziesięciu w wagonie, nawet nie było tłoku.

— Klamoty wzięłeś?

— Pewnie, że wzięłem. Pled i bonzurkę od narzeczonej, i dwa prześcieradła.

— Frajer, trzeba było kolegom zostawić. Nie wiedziałeś, że wszystko zabiorą?

— Szkoda było. Potem wyjęliśmy wszystkie gwoździe z jednej ściany, wyrwaliśmy deski i fraka! Ale na dachu był karabin maszynowy, od razu utłukł trzech pierwszych. Ostatni wychylił łeb z wagonu i dostał kulę w kark. Pociąg od razu zatrzymano, a my w ką! Wrzask, krzyk, piekło! Trzeba było nie uciekać! Tchórze! Zabijają nas! I przekleństwa, ale jakie!

— Nie gorsze niż z babskiego lagru.

— Nie, nie gorsze. Ale zawsze mocne. A ja siedziałem pod kupą ludzi na samym dnie. Myślę: dobrze, jak będą strzelać, to nie mnie pierwszego. I dobrze, bo strzelali. Puścili w kupę serię, zabili dwóch, a trzeciego ranili w bok. I los, aus, bez rzeczy! No, myślę, teraz kaput! Nic, tylko w czapę! Trochę mi się żal zrobiło bonzurki, bo miałem w niej Biblię, i rozumiecie, zawsze od narzeczonej.

— Pled, zdaje się, też był od narzeczonej?

— Był. Też mi go było żal. Ale nic nie wzięłem, bo mnie zrzucili ze stopni. Nie macie pojęcia, jak wielki jest świat, gdy człowiek wyleci z zamkniętego wagonu! Niebo wysokie...

— ...niebieskie...

— Właśnie, niebieskie, drzewa aż pachną, las, że w ręce brać! Naokoło esmani, automaty w łapach. Czterech odprowadzili na bok, a nas zagonili do drugiego wagonu. Jechaliśmy stu dwudziestu, trzech zabitych, i jeden ranny. Mało cośmy się nie udusili w wagonie. Było tak duszno, że z sufitu lała się woda, ale dosłownie. Ni jednego okienka, nic, wszystko zabite deskami. Krzyczeliśmy za powietrzem i za wodą, ale jak zaczęli strzelać, tośmy się uspokoili od razu. Potem zwaliliśmy się na podłogę i leżeliśmy jak porznięte prosiaki. Zdjąłem z siebie sweter, potem dwie koszule. Ciało opływało potem. Z nosa ciekła powoli krew. W uszach szumiało. Tęskniłem do Oświęcimia, bo znaczyło to świeże powietrze. Gdy otworzono drzwi na rampie, z pierwszym łykiem odzyskałem zupełnie siły. Noc była kwietniowa, wygwieżdżona, zimna. Nie czułem zimna, choć naciągnąłem na siebie zupełnie mokrą koszulę. Ktoś z tyłu objął mnie i pocałował. „Bracie, bracie” — zaszeptał. W czarnej, przyziemnej ciemności szeregami błyszcząły światła obozu. Nad nimi rwał się niespokojny rudy płomień. Ciemność zbiegała się ku niemu. Zdawało się, iż płonie na niebotycznej górze. „Krematorium” — przeleciało szeptem po szeregach.

— Ale zawalasz, widać, żeś poeta — rzekł z uznaniem Witek.

— Szliśmy do obozu niosąc trupy. Słyszałem za sobą ciężkie oddechy ludzi i myślałem, że za mną idzie moja narzeczone. Raz po raz głuche uderzenia. Tuż przed bramą dostałem bagnetem w udo. Nie bolało, tylko zrobiło się bardzo ciepło. Krew spływała wzdłuż uda i łydki. Po paru krokach zdrętwiały mięśnie i zacząłem kuleć. Eskortujący esman uderzył jeszcze paru przede mną i rzekł, gdy wchodziliśmy w kratowaną bramę obozu:

— Tu będziecie mieli dobry odpoczynek.

To było w czwartek w nocy. A w poniedziałek poszedłem na komando, siedem kilometrów od obozu. Na Budy, nosić telegraficzne słupy. Noga bolała jak sto choler. Ale odpoczynek jest, i to dobry! — A z tego nic — rzekł Witek — bo Żydzi jeżdżą jeszcze gorzej. I nie masz czym się chwalić.

Zdania były podzielone i co do jazdy, i co do Żydów.

— Żydzi, wiecie, jacy są Żydzi! — dorwał się Staszek do głosu. — Zobaczysz, oni jeszcze geszeft zrobią na tym swoim obozie! Oni i w krematorium, i w getcie, a rodzoną matkę sprzeda za miskę brukwi! Stoimy kiedyś z rana na arbeitskomando, koło nas sonder, chłopcy jak byki, zadowolone z życia, bo jakże? Przy mnie mój przyjaciel, Mojsze, ten od gryzioków. On z Mławy i ja z Mławy, wiecie, jak to jest, przyjaciele i handlarze, pewność i zaufanie. „Co u ciebie, Mojsze? Coś taki nieswój?” „Dostałem fotografię swojej rodziny”. „To czego się martwisz, to dobrze”. „Żeby ty się wściekł z takim dobrze, ja ojca do komina posłałem!” „Nie może być!” „Może, bo posłałem. Przyjechał z transportem, zobaczył mnie przed komorą, zaganiałem ludzi, rzucił mi się na szyję, zaczął mnie całować i pytać, co to będzie i że on jest głodny, bo dwa dni jadą bez jedzenia.

A tu komandoführer krzyczy, żeby nie stać, że trzeba pracować! Co miałem robić? «Idź, ojciec — mówię — wykap się w łaźni, a potem pogadamy, widzisz, że teraz nie mam czasu.» I ojciec poszedł do komory. A zdjęcia wyciągnąłem potem z ubrania. I powiedz, gdzie tu jest dobrze, że mam fotografie?»

Roześmieliśmy się. Swoją drogą, dobrze, że Aryjczyków teraz nie gazują. Wszystko, byle nie to.

— Gazowali dawniej — rzekł „tutejszy” flegger, który się do nas zawsze przysiadł. — Ja na tym bloku jestem od dawna i dużo pamiętam. Ile przez moje ręce przeszło ludzi do gazu, kolegów i znajomych z jednego miasta! Już człowiek nawet twarzy nie pamięta. Ot, zwyczajnie — masa. Ale jeden wypadek będę pamiętał chyba przez całe życie. Byłem wtedy fleggerem w ambulansie. Opatrunków za bardzo delikatnie nie robię, wiadomo, czasu nie ma na dyrdymałki. Pogmera się w łapie czy na plecach, czy tam gdzie jeszcze, lignina, bandaż i won! Następny! Nawet człowiek na twarz nie spojrzy. Nikt też nie dziękuje, bo nie ma za co. Ale raz zrobiłem

opatrunek jakiejś flegmony, a ktoś mi od drzwi mówi: „Spasibo, panie flegger!” Takie to blade, mizerne, ledwo trzyma się na opuchniętych nogach. Poszedłem go odwiedzić i zaniósłem mu zupy. Miał flegmonę prawego pośladka, potem całego uda, kieszeń ropną. Cierpiał okropnie. Płakał i mówił o matce. „Cicho bądź — mówiłem mu — my przecież też mamy matki, a nie płacemy”. Pocieszałem go, jak mogłem, bo skarżył się, że nie wróci. Cóż mu mogłem dać? Miskę zupy i czasem kawałek chleba. Ukrywałem Toleczkę, jak mogłem, przed wybiórkami, ale raz go znaleźli, zapisali. Przyszedłem zaraz do niego. Był w gorączce. Mówił do mnie: „To nic, że idę do gazu. Tak widać trzeba. Ale jak się skończy wojna i ty przeżyjesz...” „Nie wiem, Toleczka, czy przeżyję” — przerwałem mu. „Przeżyjesz — dorzucił z uporem — i pojedziesz do mojej matki. Po wojnie na pewno nie będzie granic, nie będzie państw, nie będzie obozów, ludzie nie będą się zabijać. Wied eto poslednij boj — rzekł z naciskiem. — Poslednij, ponimajesz?” — „Rozumiem” — odrzekłem. „Pojedziesz do mojej matki i powiesz jej, że zginąłem. Żeby nie było granic. Ani wojny. Ani obozów. Powiesz?” „Powiem”. „Zapamiętaj: moja matka mieszka w Dalniewostoc znym Kraju, gorod Chabarowsk, ulica Lwa Tolstowo dwadcat’ piat’, powtórz”. Powtórzyłem. Poszedłem do blokowego, Szarego, który mógł jeszcze Toleczkę wyciągnąć z listy. Strzelił mnie w pysk i wyrzucił z budy. Toleczka poszedł do gazu. Szary w parę miesięcy później pojechał w transport. Na odjezdnym prosił o papierosy. Poszczułem, żeby nikt mu nie dał. Nie dali. Może źle zrobiłem, bo jechał na wykończenie do Mauthausen. A adres matki Toleczki zapamiętałem dobrze: Dalniewostocznyj Kraj, gorod Chabarowsk, ulica Lwa Tolstowo...

Milczeliśmy. Zaniepokojony Kurt spytał, co się stało, ponieważ on i tak nic z rozmowy nie rozumie. Witek mu streścił:

— Gadamy o obozie i czy świat będzie lepszy. Mógłbyś i ty co opowiedzieć. Kurt popatrzył na nas z uśmiechem i rzekł powoli, abyśmy wszyscy zrozumieli:

— Ja opowiem bardzo krótko. Jak byłem w Mauthausen, złapano tam dwóch uciekinierów, akurat w Wigilię. Postawiono szubienicę na placu, koło wielkiej choinki. Cały obóz był zebrany na apelu, gdy ich wieszano. Na choince akurat zapalono światła. Wtedy wystąpił lagerführer, zwrócił się do więźniów i zakomenderował:

— Haftlinge, Miitzen ab!

Zdjęliśmy czapki. Lagerführer rzekł na tradycyjną przemowę wigilijną:

— Kto się zachowuje jak świnia, będzie jak świnia traktowany. Haftlinge, Miitzen auf!

Założyliśmy czapki.

— Rozejść się! Rozeszliśmy się.

Zapaliliśmy papierosy. Milczeliśmy. Każdy myślał o swoich rzeczach.

VII

Gdyby opadły ściany baraków, tysiące ludzi zbitych, stłamszonych na pryczach zawisłoby w powietrzu. Byłby to widok wstrętniejszy niż średniowieczne obrazy sądów ostatecznych. Najbardziej wstrząsa człowiekiem widok drugiego człowieka śpiącego na swoim kawałku buksy, miejsca, które musi zajmować, bo ma ciało. Ciało wykorzystali, jak się da: wytatuowali na nim numer, żeby zaoszczędzić obroży, dali tyle snu w noey, żeby człowiek mógł pracować, i tyle czasu w dzień, aby zjadł. I jedzenia tyle, żeby bezproduktywnie nie zdechł. Jedno jest tylko miejsce do życia: kawałek pryczy, reszta należy do obozu, do państwa. Ale ani ten kawałek miejsca, ani koszula, ani

łopata nie jest twoja. Zachorujesz, odbiorą ci wszystko: ubranie, czapkę, przemycony szalik, chusteczkę do nosa. Jak umrzesz — wyrwą ci złote zęby, już poprzednio zapisane w księgi obozu. Spalą, popiołem wysypią pola albo osuszą stawy. Co prawda marnotrawią przy spalaniu tyle tłuszczu, tyle kości, tyle mięsa, tyle ciepła!

Ale gdzie indziej robią z ludzi mydło, ze skóry ludzkiej abażury, z kości ozdoby. Kto wie, może na eksport dla Murzynów, których kiedyś podbijają?

Pracujemy pod ziemią i na ziemi, pod dachem i na deszczu, przy łopacie, lorze, kilofie i łomie. Nosimy wory z cementem, układamy cegły, tory kolejowe, grodzimy grunta, depczemy ziemię... Zakładamy podwaliny jakiejś nowej, potwornej cywilizacji. Teraz dopiero poznałem cenę starożytności. Jaka potworną zbrodnią są piramidy egipskie, świątynie i greckie posągi! Ile krwi musiało spłynąć na rzymskie drogi, wały graniczne i budowle miasta! Ta starożytność, która była olbrzymim koncentracyjnym obozem, gdzie niewolnikowi wypalano znak własności na czole i krzyżowano za ucieczkę. Ta starożytność, która była wielką złączy ludzi wolnych przeciw niewolnikom!

Pamiętasz, jak lubiłem Platona. Dziś wiem, że kłamał. Bo w rzeczach ziemskich nie odbija się ideał, ale leży ciężka, krwawa praca człowieka. To myśmy budowali piramidy, rwali marmur na świątynie i kamienie na drogi imperialne, to myśmy wiosłowali na galerach i ciągnęli sochy, a oni pisali dialogi i dramaty, usprawiedliwiali ojczyznami swoje intrygi, walczyli o granice i demokracje. Myśmy byli brudni i umierali naprawdę. Oni byli estetyczni i dyskutowali na niby.

Nie ma piękna, jeśli w nim leży krzywda człowieka. Nie ma prawdy, która tę krzywdę pomija. Nie ma dobra, które na nią pozwala.

Cóż wie starożytność o nas? Zna przebiegłego niewolnika z Teren-cjusza i Plauta, zna trybunów ludowych Grakchów i imię jednego tylko niewolnika — Spartakusa. Oni robili historię i byle zbrodniarza — Scypiona, byle adwokata — Cycera czy Demostenesa, pamiętamy doskonale. Zachwycamy się wycięciem Etrusków, wybiciem Kartaginy, zdradami, podstępem i łupiestwem. Prawo rzymskie! I dziś jest prawo!

Co bgdzie o nas wiedzieć świąt, jeśli zwyciężą Niemcy? Powstaną olbrzymie budowle, autostrady, fabryki, niebotyczne pomniki. Pod każdą cegłą będą podłożone nasze ręce, na naszych barkach będą noszone podkłady kolejowe i płyty betonu. Wymordują nam rodziny, chorych, starców. Wymordują dzieci.

I nikt o nas wiedzieć nie będzie. Zakrzyczą nas poeci, adwokaci, filozofowie, księża. Stworzą piękno, dobro i prawdę. Stworzą religię.

Trzy lata temu były tu wioski i osiedla. Były pola, drogi polne i grusze na miedzach. Byli ludzie, którzy nie byli lepsi ani gorsi od innych.

Potem przyszliśmy my. Wygnaliśmy ludzi, rozbiliśmy domy, zrównaliśmy ziemię, umiesiliśmy ją na błoto. Postawiliśmy baraki, płoty, krematoria. Przywlekliśmy ze sobą świerzb, flegmonę i wszy.

Pracujemy w fabrykach i kopalniach. Dokonujemy olbrzymiej pracy, z której ktoś ciągnie niesłychany zysk. Dziwne są dzieje tutejszej firmy Lenz. Firma ta wybudowała nam obóz, baraki, hale, magazyny, bunkry, kominy. Obóz wypożyczał jej więźniów, a SS dawało materiały. Przy rozliczeniu rachunek okazał się tak fantastycznie milionowy, że za głowę złapał się nie tylko Auschwitz, ale sam Berlin. Panowie, powiedziano, to niemożliwe, za dużo zarobiliście, aż tyle a tyle milionów! A jednak, odrzekła firma, oto są rachunki. No tak, rzekł Berlin, ale my nie możemy. To połowę, zaproponowała patriotyczna firma. Trzydzieści procent, potargował się jeszcze Berlin, i na tym stanęło. Od tego czasu wszystkie rachunki firmy Lenz są odpowiednio obcinane. Lenz nie martwi się jednak: jak wszystkie firmy niemieckie powiększa kapitał zakładowy. Zrobił na Oświęcimiu olbrzymi interes i spokojnie czeka końca wojny. Tak samo firma Wagner i Continental od wodociągów, firma Richter od studzien, Siemens od oświetleń i drutów

elektrycznych, dostawcy cegły, cementu, żelaza i drzewa, wytwórcy części barakowych i ubrań pasiastych. Tak samo olbrzymia firma samochodowa Union, tak samo zakłady rozbiórki szmelcu DAW. Tak samo właściciele kopalń w Mysłowicach, Gliwicach, Janinie, Jaworznie. Ten z nas, który przeżyje, musi kiedyś zażądać równoważnika tej pracy. Nie pieniędzy, nie towaru, ale twardej, kamiennej pracy.

Kiedy ludzie chorzy i ci po pracy idą spać, rozmawiam z Tobą z daleka. Widzę w ciemności Twoją twarz i choć mówię z goryczą i nienawiścią obcą Tobie, wiem, że słuchasz uważnie.

Jesteś wprzęgnięta w mój los. Tyle tylko, że masz dłonie nie do kilofa i ciało nie przyzwyczajone do świerzb. Wiąże nas nasza miłość i miłość bezgraniczna tych, co pozostali. Tych, co żyją dla nas i stanowią nasz świat. Twarze rodziców, przyjaciół, kształty przedmiotów, które pozostały. I jest to najdroższe, czym możemy się dzielić: przeżycie! I choćby nam zostawiono tylko ciała na szpitalnej pryczy, będzie jeszcze przy nas nasza myśl i nasze uczucie.

I sądzę, że godność człowieka naprawdę leży w jego myśli i w jego uczuciu.

Nie masz pojęcia, jak jestem szczęśliwy.

Przede wszystkim — długi elektryk. Chodzę do niego co rano z Kurtem (bo to jego znajomy) i oddajemy listy do Ciebie. Elektryk, fantastycznie stary numer, tysiąc z małym okładem, obładowuje się kiełbasami, woreczkami z cukrem, bielizną damską, a gdzieś do buta wkłada kupę listów. Elektryk jest łysy i nie ma zrozumienia dla naszej miłości. Elektryk się krzywi na każdy list, który mu przynoszę. Elektryk powiada, gdy chcę elektrykowi wręczyć papierosy:

— Kolego, u nas, w Auschwitzu, nie bierze się za listy! A odpowiedź, jak będę mógł, to przyniosę. Jakoż wieczorem idę do niego. Następuje procedura odwrotna: elektryk sięga do buta, wyciąga kartkę od Ciebie, oddaje mi i krzywi się niechętnie. Bo elektryk nie ma zrozumienia dla naszej miłości. I na pewno nie lubi bunkra, klatki o wymiarach metr na półtora. Ponieważ elektryk jest bardzo długi i byłoby mu w bunkrze niewygodnie.

Więc przede wszystkim — długi elektryk. Po drugie zaś — ślub Hiszpana. Bronił Hiszpan Madrytu, uciekł do Francji i przywieźli go do Oświęcimia. Jak to Hiszpan: miał jakąś Francuzkę, a z nią dziecko. Jak dziecko nieźle podrosło, a Hiszpan wciąż w obozie, Francuzka w krzyk, że chce ślubu! Więc podanie do samego H., H. oburzył się: Taki nieporządek w nowej Europie, natychmiast dać im ślub!

Przywleczono Francuzkę z dzieckiem do obozu, z Hiszpana na gwałt ściągnięto pasiaki, dopasowano elegancki, przez samego kapę pralni wyprasowany garnitur, z bogatych zbiorów obozowych dobrano starannie krawat do skarpetek i dano ślub.

Potem szli nowożeńcy do zdjęcia: ona z synkiem i bukietem hiacyntów na rękę, a on z nią pod pachę. Za nimi orkiestra in corpore', za orkiestrą zaś wściekły esman od kuchni:

— Ja wam meldung zrobię, że gracie w czasie pracy zamiast obierać kartofle! Mnie zupa stoi bez kartofli! Ja wszystkie śluby mam w...

— Cicho... — zaczęli go uspokajać inni dostojnicy. — Berlin kazał. A zupa może być przecież bez kartofli. Nowożeńców tymczasem sfotografowano i odstąpiono im na noc poślubną apartamentu pufku, który wygnano na dziesiątkę. Nazajutrz Francuzkę odesłano do Francji, a Hiszpana w pasiaczkach na komando.

Cały zaś obóz chodzi, jakby kija połknął.

— U nas, w Auschwitzu to nawet śluby dają.

Więc przede wszystkim — długi elektryk. Po drugie — ślub Hiszpana. Po trzecie zaś — kończymy kursy. Niedawno skończyły je fleggerki z FKL. Żegnaliśmy je muzyką kameralną. Zasiadły wszystkie u okna dziesiątego bloku, a z okien naszego grały im wyjątki z orkiestry: bęben, saksofon i skrzypce. Najcudowniejszy jest saksofon: łka i płacze, śmieje się i błyska!

Szkoda, że Słowacki nie znał go, na pewno zostałby saksofonistą dla bogactwa jego wyrazu.

Najpierw kobiety, a teraz my. Zebraliśmy się na stryszku, przyszedł lagerarzt Rhode (ten „porządny”, co nie robi różnicy między Żydami a Aryjczykami), przyszedł, popatrzył na nas i nasze opatrunki, powiedział, że jest bardzo zadowolony i że teraz na pewno będzie u nas, w Auschwitzu, lepiej. I prędko wyszedł, bo stryszek zimny.

U nas, w Auschwitzu, żegnają nas dziś przez cały dzień. Franz, ten od Wiednia, zrobił mi ostateczny wykład o sensie wojny. Trochę zacinając się, mówił o ludziach, którzy pracują, i o ludziach, którzy niszczą. O zwycięstwie pierwszych i o klęsce drugich. O tym, że się bije za nas towarzysz z naszego pokolenia z Londynu i Uralska, z Chicago i Kalkuty, z łąd i wyspy. O nadchodzącym braterstwie ludzi tworzących. „Oto — myślałem — rodzi się mesjanizm wśród zniszczenia i śmierci, zwykła droga ludzkiej myśli”. Potem Franz rozłożył swoją paczkę, którą właśnie dostał z Wiednia, i piliśmy wieczorną herbatę. Śpiewał Franz pieśni austriackie, a ja mówiłem wiersze, których on nie rozumiał.

U nas, w Auschwitzu, dali mi na drogę trochę lekarstw i parę książek. Wtłamsiłem je do paczki pod jedzenie. Wyobraź sobie — myśli Anioła Ślązaka. Więc jestem szczęśliwy, bo wszystko do kupy: długi elektryk, ślub Hiszpana, kończymy kursy. Po czwarte zaś — dostałem wczoraj listy z domu. Długo mnie szukały, ale znalazły.

Od prawie dwu miesięcy nie miałem znaku życia z domu i niepokoiłem się strasznie, bo tu wieści są fantastyczne o stosunkach w Warszawie, począłem pisać już rozpaczliwe listy i właśnie wczoraj, pomyśl tylko! dwa listy: jeden od Staszka i jeden od brata.

Staszek pisze słowami bardzo prostymi, jak człowiek, który w obcym języku pragnie oddać treść od serca. „Lubimy cię i pamiętamy o tobie, pisze, i pamiętamy też o Tuście, twojej narzeczonej. Żyjemy, pracujemy i tworzymy.” Żyją, pracują i tworzą, tylko Andrzej zginął i Wacek „nie żyje”.

Jakże to fatalne, że ci dwaj najzdolniejsi z pokolenia, o największej pasji tworzenia, że właśnie ci musieli zginąć!

Wiesz, jak ostro stałem przeciw nim: ich imperialnej koncepcji budowania żarłocznego państwa, ich nieuczciwości w rozumowaniu społecznym, ich teoriom sztuki narodowej, ich filozofii mętnej jak sam mistrz Brzozowski, ich praktyce poetyckiej, czołem bijącej o mur Awangardy, ich stylowi życia świadomego i nieświadomego zakłamania.

I dziś, gdy oddziela nas próg dwu światów, próg, który i my przekroczymy, podejmuję ten spór o sens świata, styl życia i oblicze poezji. I dziś zarzucę im ugięcie się wobec sugestywnych idei potężnego, zaborczego państwa, podziw dla zła, którego wadą jest to, że nie jest naszym złem. I dziś zarzucę im bezideowość poezji, nieobecność w niej człowieka, nieobecność w niej poety.

Ale widzę ich twarze przez próg innego świata i myślę o nich, o chłopcach z mego pokolenia, i czuję, że pustka wokół nas robi się coraz większa. Odeszli tak niesłychanie żywi, tak ze środka dzieła, które budowali. Odeszli tak bardzo należący do tego świata. Żegnaj ich, przyjaciół z innej barykady. Oby na drugim świecie znaleźli prawdę i miłość, której tu nie spotkali!

... Ewa, ta, która tak pięknie mówiła wiersze o harmonii i gwiazdach, i o tym, że „jeszcze nie jest tak źle”, też rozstrzelana. Pustka, pustka coraz większa. Odchodzą dalsi i bliżsi i już nie o sens walki, ale o życie dla ludzi kochanych niech modlą się ci, którzy modlić się umieją.

Myślałem, że na nas się skończy. Że jak wrócimy, wrócimy do świata, który nie zaznał tej okropnej atmosfery dławiącej nas. Że tylko my zeszliliśmy na dno. Ale stamtąd ludzie odchodzą — wprost ze środka życia, walki, miłości.

Jesteśmy niewrażliwi jak drzewa, jak kamienie. I milczymy jak ścinane drzewa, jak rąbane kamienie.

Drugi list jest od brata. Wiesz, jak serdeczne listy pisuje Julek do mnie. I teraz pisze mi, że myślą o nas, że czekają, że chowają wszystkie książki i wiersze...

Jak wrócę, na moich półkach bibliotecznych zastanę nowy swój tomik. „Są to wiersze o twojej miłości” — pisze brat. Myślę, że to symbolicznie splata się miłość nasza i poezja i że te wiersze, które pisane były tylko dla Ciebie i z którymi Cię arestowano, to pewne już z daleka zwycięstwo. Wydano je — może jako pamiątkę po nas? Jestem wdzięczny przyjaźni ludzkiej, że zachowuje po nas — poezję i miłość i że nasze prawo do nich uznała.

I pisze mi jeszcze brat o Twojej Matce, że myśli ona o nas i wierzy, iż wrócimy i będziemy zawsze razem, bo takie jest prawo ludzkie.

... W pierwszej kartce, którą dostałem od Ciebie w parę dni po przyjeździe do obozu, pamiętasz, co mi pisałaś? Pisałaś, że jesteś chora i że jesteś zrozpaczona, bo mnie „wtrąciłaś” do obozu. Że gdyby nie Ty, to ja itd. A wiesz, jak to było naprawdę?

Było tak, że czekałem na umówiony Twój telefon od Marii. Po południu był u mnie komplet — jak zwykle w środę — zdaje się, że mówiłem coś o swojej pracy językowej, i zdaje się, że zgasła karbidówka.

Potem czekałem na Twój telefon. Wiedziałem, że musisz zadzwonić, bo przyrzekałaś. Nie dzwoniłaś. Nie pamiętam, czy byłem na obiedzie. Jeśli byłem, to wróciwszy, siedziałem znów przy telefonie, bałem się, że może z sąsiedniego pokoju nie usłyszę. Czytałem jakieś wycinki gazetowe i nowelę Maurois o człowieku, który ważył dusze po to, aby nauczysz się zamykać ludzkie dusze w naczynia wiecznotrwale, zamknąć w nie duszę swoją i kochanej kobiety. Ale zamknął tylko dusze dwu przygodnych cyrkowych błaznów, a jego dusza i dusza kobiety musiały się rozwiać we wszechświecie. Nad ranem zasnąłem.

Z rana poszedłem do domu, jak zwykle z teczką, z książkami. Zjadłem śniadanie, powiedziałem, że będę na obiedzie i że się bardzo śpieszę, wykręciłem psu ucho i poszedłem do Twojej Matki. Matka była zaniepokojona o Ciebie. Pojechałem tramwajem do Marii. Przypatrywałem się długo drzewom Łazienek, bo je bardzo lubię. Dla odprężenia poszedłem piechotą przez Puławską. Na schodach leżały niezwykle ilości niedopałków i jeśli dobrze pamiętam, ślady krwi. Ale może to sugestia. Podeszedłem do drzwi i zadzwoniłem umówionym znakiem. Otworzyli mężczyźni z rewolwerami w rękę. Od tego czasu minął rok. Ale piszę to po to, abyś wiedziała, że nigdy nie żałowałem, iż jesteśmy razem. I nigdy nie myślę, że mogłoby być inaczej. Lecz myślę często o przyszłości. O życiu, którym będziemy żyć, jeżeli... O wierszach, które napiszę, o książkach, które będziemy czytać, o przedmiotach, które będą u nas. Wiem, że to są głupstwa, ale myślę o nich. Mam nawet pomysł na nasz ekslibris. Będzie to róża rzucona na zamkniętą grubą księgę z wielkimi średniowiecznymi okuciami.

Wróciliśmy już. Poszedłem po staremu na swój blok, nasmarowałem chorych na kręcę herbatą z mięty, a dziś z rana umyliśmy pospołu podłogę. Potem postąłem z mądrą miną koło doktora, który robił punkcję. Potem wziąłem dwa ostatnie zastrzyki prontosilu i posyłam Tobie. Wreszcie nasz fryzjer blokowy (z cywila restaurator spod Poczty w Krakowie) Heniek Liberfreund uznał, że teraz to na pewno będę najlepszym flegerem wśród literatów. Poza tym cały dzień łązę za listem do Ciebie. List do Ciebie — to te kartki, ale żeby doszły, gdzie trzeba, muszę mieć nogi. A o te nogi się staram. Wreszcie znalazłem jedną parę — w długich, czerwonych sznurowanych butach. Nogi mają poza tym czarne okulary, są barczyste i chodzą co dzień na FKL po trupy dzieci płci męskiej. Te bowiem muszą przejść przez naszą szrajbsztubę, naszą trupiarnię i nasz SDG⁷ musi je własnoręcznie obejrzeć. Na porządku świat stoi, czyli mniej poetycznie — Ordnung muss sein².

Więc nogi chodzą na FKL i są wcale dla mnie życzliwe. Same, powiadają, mają żonę na babskim i wiedzą, jak jest ciężko. Dlatego list zabiorą ot tak, dla przyjemności. A mnie też, jak się nadarzy okazja. List tedy wysyłam natychmiast, a sam staram się przyjść do Ciebie. Czuję się nawet w nastroju podróznym. Moi przyjaciele radzą wziąć pled i — podłożyć go, gdzie należy. Przy moim szczęściu i obozowej zaradności, słusznie rozumują, przy pierwszej wycieczce muszę wpaść. Chyba że pójdę pod opieką. Radziłem im wysmarować się balsamem peruwiańskim na świerzb.

I jeszcze rozglądam się po krajobrazie. Nie zmieniło się nic, tylko błota dziwnie przybyło. Wiosną pachnie. Będą się ludzie topić w błocie. Z lasu ciągnie raz zapach sosen, a raz dymu. Raz jadą samochody z łachami, a raz muzulmani z Buni. Raz obiad na efekty, a raz esmani na zmianę warty.

Nie zmieniło się nic. Że wczoraj niedziela, byliśmy na lagrze na kontroli wszy. Okropne są bloki obozowe zimą! Brudne buksy, wymiecione klepiska i zastarzały zapach ludzki. Bloki nabite ludźmi, ale wszy ani jednej. Nie darmo odwswzenia trwają przez całe noce.

Wychodziliśmy już z bloków po skończonej kontroli, gdy na lager wróciło z kremu sonderkomando. Szli odymieni, nalani tłuszczem, uginając się pod ciężkimi tobołami. Im wolno wszystko przynosić prócz złota, lecz tego szmuglują najwięcej.

Spod bloków wyrwały się grupki ludzi, wpadały w maszerujące szeregi i porywały upatrzone pakunki. Krzyki, przekleństwa i razykotłowały się w powietrzu. Wreszcie sonder znikło w bramie swego, odgródzonego od reszty obozu murem, podwórza. Zaraz jednak chyłkiem poczęli się wymykać Żydzi na handel, na organizację i w odwiedzinę.

Zahaczyłem jednego z nich, przyjaciela z naszego byłego komanda. Ja zachorowałem i poszedłem na KB. On miał więcej „szczęścia” i poszedł do sonder. Zawsze lepiej niż łopata robić o misce zupy. Wyciągnął serdecznie rękę.

— A, to ty? Potrzebujesz czego? Jak masz jabłka...

— Nie, jabłek nie mam dla ciebie — odrzekłem przyjaźnie. — Nie umarłeś jeszcze, Abramek? Co słychać?

— Nic ciekawego. Czeski my zagazowali.

— To wiem i bez ciebie. A osobiście?

— Osobiście? Jakie u mnie może być „osobiście”? Komin, blok i znowu komin? Albo ja mam tu kogo? A, chcesz wiedzieć — osobiście: wykombinowali my nowy sposób palenia w kominie. A wiesz jaki?

Byłem bardzo uprzejmie ciekaw.

— A taki, że bierzemy cztery dzieciaki z włosami, przytykamy głowy do kupy i podpalamy włosy. Potem pali się samo i jest gemacht.

— Winszuję — rzekłem sucho, bez entuzjazmu. Roześmiał się dziwnie i popatrzył mi w oczy:

— Te, flegger, u nas, w Auschwitzu, my musimy bawić się, jak umiemy. Jak by szło inaczej wytrzymać?

I wsadziwszy ręce w kieszeń odszedł bez pożegnania. Ale to jest nieprawda i groteska, jak cały obóz, jak, cały świat